

Hehs

Hehs hehs

Hehs

1.

— Ma pan bilet? – usłyszałem. Dopiero po chwili zauważyłem, że pytanie było skierowane do mnie.

— Słucham? – zapytałem z lekkim zaniepokojeniem.

— Czy ma pan bilet? – powtórzył mężczyzna.

„Jaki bilet?”.

— Nie mam.

Odszedł.

„O co chodzi?”.

Rozejrzałem się. Siedziałem na drewnianej ławce.

Pomieszczenie, w którym się znajdowałem było dość duże.

Przewijały się przez nie całe chmary ludzi. Niektórzy mieli ze sobą walizki, inni torby, a jeszcze inni szli bez żadnego bagażu.

Słyszałem wszystkie słowa wychodzące z ich ust. Każde, pojawiające się jak echo, powtarzające się kilka razy.

Usłyszałem jakąś kobietę stojącą obok mnie. Wymawiała nazwę znanego mi miasta, ale mimo to, nie wiedziałem, o jakim mówi. Dopytywała o trasę i o czas odjazdu.

Wiem. Jestem na dworcu kolejowym.

„Na dworcu?”.

„Czemu?”.

Próbowałem wstać z ławki, przez co prawie się nie przewróciłem. Moje nogi były jak z waty, ledwo udało mi się na nich ustać.

„Dokąd pójść?”

Skierowałem się do miejsca, z którego słyszałem rozmowę kobiety. To były okienka, w którym sprzedawano bilety. Do tego najbardziej wysuniętego na prawo była kolejka, do czterech obok zaś nie stał nikt, mimo, że widziałem, że siedziały za nich starsze panie najwidoczniej pracujące tutaj.

— Jakie to miasto?

I znów usłyszałem ten dziwny bełkot, który od razu odpowiedział mi w głowie „A tak, znam”, a mimo to nie potrafiłem powtórzyć nazwy. Jakbym jej zapomniał.

Skoro jestem na dworcu, o co chodziło z tym całym biletem? Spojrzałem w stronę, w którą zdawał się udać mężczyzna, który mnie o niego dopytywał.

Był tam, podchodząc po kolei do każdego. Dopiero teraz zauważyłem po jego stroju, że był konduktorem.

Wszystko było bez sensu. Tym razem moja podświadomość nie popisała się tworząc tło. Dlaczego konduktor sprawdzał bilety na holu dworca? Raczej powinien to robić dopiero w pociągu. Dlaczego odszedł, gdy mu odrzekłem, że go nie mam, zamiast wystawić mi mandat?

Oj, nie popisała się.

— Przepraszam, co pan robi? – zapytałem.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Ma pan bilet?

W nadziei, że jakoś zareaguje, odparłem:

— Nie mam.

Odwrócił się i znów wrócił do sprawdzania biletów u ludzi, którzy gromadzili się wokół niego.

Nie wiedząc, co właściwie zrobić, postanowiłem wyjść. I właśnie wtedy, wychodząc z tłumu, zauważyłem Go.

Postać w ciemnym garniturze, z czerwonym krawatem, z walizką w prawej ręce. Jedna rzecz sprawiała, że nie można było go przegapić. Jego głowa była cała biała, nie było na niej żadnych włosów, a jej połysk dawał złudzenie, jakby była z metalu. Nie miał ani ust, ani nosa, ani uszu. Miał za to coś, co przypominało oczy: dwa ciemne otwory, z których ciekła czerwona maź, która po chwili zaczęła się za nim ciągnąć po podłodze.

„Krew?”

Wszystko jakby zwolniło swoje tempo. Wszystkie dźwięki, które dotąd i tak brzmiały jak echo, stały się teraz jeszcze wolniejsze i jeszcze wyrazistsze, jeszcze bardziej mnie dezorientując. Szedł w moją stronę. Nie widziałem ani źrenic, ani tęczywek w miejscu, w którym powinny się znajdować, a mimo to wiedziałem, że patrzy na mnie. Idzie w moją stronę. Idzie do mnie.

Patrzy na mnie.

Serce zaczęło mi mocniej bić. Czuję, jakby znajdowało się teraz w moim gardle. Postać nie zmieniła kierunku. Pomyślałem, że dobrym pomysłem byłoby się odsunąć, ale poczułem w sobie niemoc, jakby paraliż.

Gdy znajdowała się już na odległości kilku kroków, chciałem zacząć uciekać. Dalej jednak stałem w bezruchu, mimo, że kilka razy próbowałem. Patrzyłem się w jego twarz (można to nazwać twarzą?), jakby na wszelki wypadek. Zaczął po mnie lecieć zimny pot.

W końcu nasze ciała się styknęły. Pchnął mnie, po czym upadłem, wciąż nie mogąc się ruszyć.

Nie zdawał się być wzruszony swoim zachowaniem. Poszedł – jak wszyscy – w stronę konduktora, jednak po chwili minął go wychodząc na korytarz, który prowadził na perony.

Nikt się go nie przestraszył, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nikt jej nie zwrócił na mnie, leżącego na podłodze, całego we krwi. Ubrania całe były nią przesiąknięte. Przez chwile

pomyślałem, że ochlapał mnie nią, kapiącą mu z oczu, jednak dziura w mojej bluzie wskazywała na coś innego.

Byłem ranny.

— Pomocy! – próbowałem wykrzyknąć, ale nikt się nie odwrócił: ludzie w dalszym ciągu zmierzali w jedną stronę.

Chwilę potem leżałem na łóżku w ciemnym pomieszczeniu. Odruchowo od razu usiadłem, wciąż myśląc, że powinienem trzymać się na baczności.

Odetchnąłem. W zarysach ścian, mebli i ich położenia, zgałęm, że jestem w swoim pokoju.

Zacząłem powoli oddychać, by się uspokoić.

Spojrzałem na swój telefon: wskazywał 6:59. Nie zdążyłem o niczym innym pomyśleć, kiedy na wyświetlaczu godzina zmieniła się na 7:00, po czym włączył się budzik.

Jednocześnie poczułem ulgę i zawód. Ulgę z tego względu, że to, co działo się przed chwilą było fikcją, zwód z tego powodu, że dalej to pamiętam, że jednak dalej muszę się tym przejmować.

Wstałem z łóżka, czując nieprzyjemne uczucie przyklejonej do ciała, całej mokrej pidżamy.

— Daniel, wstałeś już? — usłyszałem z dołu. Nie odpowiedziałem.

Przebierając wcześniej pidżamę, wyszedłem ze swojego pokoju i zszedłem po schodach.

— Czemu mi nie odpowiadasz jak cię pytam?

— Amanda, daj sobie spokój, co?

Westchnęła.

Wiem, że martwi się o mnie, próbuje wychować najlepiej, jak może, ale czasami to po prostu wkurza. Zresztą na pewno rozumie.

Usiadłem przy stole, na którym były już przygotowane dwie miski z płatkami śniadaniowymi oraz talerz kanapek. Po chwili, gdy mleko w garnku na kuchence zaczęło kipieć, Amanda

wstała i zalała nim salaterki, po czym odstawiała garnek i znów usiadła zabierając się za jedzenie. Podobnie, jak ja.

— Co dzisiaj? — zapytała.

— To samo. Dziś byłem na dworcu.

— Dworcu? — zdziwiła się.

Przytaknąłem.

— Ehh, to zaczyna się robić coraz dziwniejsze.

— I męczące — dodałem.

— Dziś będę musiała dłużej zostać w pracy... — Zmieniła temat, po czym zaczęła się usprawiedliwiać. Nie słuchałem, co mówi: nie miało to dla mnie żadnej różnicy. Nie wiem, po co za każdym razem się tłumaczy, przecież nie mam jej nic za złe.

— Będziesz musiał wrócić ze szkoły autobusem. Czekaj. — Wstała. — Zaraz dam ci pieniądze na bilet.

— Kupię ze swoich. — Znów usiadła. — Po prostu jedz. — westchnąłem.

Gdyby nie Amanda, po wypadku naszych rodziców musiałbym wyjeżdżać na drugi koniec kraju, aby zajęła się mną jakaś nasza dalsza rodzina, od której z niewiadomych przyczyn uciekliśmy tak daleko. Jako, że była wtedy już pełnoletnia, mogła mnie przygarnąć, za co jestem jej wdzięczny do dziś.

Po śmierci rodziców otrzymaliśmy dom, w którym dotychczas mieszkaliśmy. Mieliśmy więc gdzie mieszkać. Gorzej było z utrzymaniem. Ze dwa lata temu Amanda miała swojego gacha, który krótko mówiąc zrobił ją w ciula i narobił jej trochę kredytów. Tak więc teraz musiała utrzymywać nas dwójkę — co już nie było łatwym zadaniem z jej małą wypłatą — oraz spłacać kredyty.

Dom pani Tanner był całkowicie wykonany z drewna. Cała konstrukcja wyglądała, jakby przy pierwszym lepszym podmuchu wiatru jednopiętrowy budynek miałby się rozpaść. Nie był on w żaden sposób pomalowany, czy udekorowany, widać było, że jego

mieszkańcom nie zależało na tym, aby dom wyglądał schludnie. Zresztą nie mieli po co o niego dbać – kto ich mógł tutaj odwiedzać? Miejsce, w którym mieszkali było całkowitym pustkowiem: stał tu tylko ten jeden budynek, wokół wieczna równina pokryta czerwonym piaskiem ciągnąca się aż do horyzontu albo i dalej.

– Hej, Daniel! – zawołała starsza kobieta gdy tylko przeszedłem przez próg.

– Dzień dobry – odpowiedziałem.

– Co u ciebie? – zapytała. – Chodź do kuchni, upiekłam ciasto.

– Będzie ciekawiej, jeśli to ja pani zadam to pytanie.

– Daniel, spójrz przez okno. Myślisz, że może być u mnie coś nowego? – Popukała się w czoło palcem wskazującym.

– I tak ciekawiej, niż u mnie – westchnąłem.

– Jak to? – zapytała jakby z pretensjami.

– U mnie dalej to samo. Tylko, że teraz śni mi się o wiele częściej – wcześniej było to raz na kilka tygodni, teraz prawie codziennie.

– Znowu on? Ile można?

– Idź i go zapytaj...

– Danielu Reed, nie pyskuj do mnie!

– Przepraszam, jestem tym już zmęczony. Czuję, jakby pragnął mi coś przekazać, albo coś. Tylko nici z takiego przekazu, skoro nawet się do mnie nie odezwie. Ciągłe robi to samo, zmienia się tylko otoczenie. Ostatnim razem – dla odmiany – byłem na dworcu. Dźgnął mnie... czymś. Zacząłem krwawić.

– Ponoć sny to wspomnienia... – odpowiedziała po chwili namysłu.

– Jakoś sobie tego nie przypominam. To znaczy: to było pogmatwane. Po dworcu chodził konduktor sprawdzający ludziom bilety. Nie w pociągu, byliśmy w holu dworca. Gdy mu odpowiedziałem, że nie mam biletu, ten odszedł bez słowa.

— Nie znam się na tym, ale z tego, co zdążyłam usłyszeć podczas mojego długiego... — To musiała podkreślić. — ...życia, sny to wspomnienia, które zalegają gdzieś w twojej podświadomości, takie, których nie możesz ot tak przywołać. A to, że są pogmatwana, to akurat sprawka tej twojej podświadomości i tylko do niej możesz mieć pretensje. Zresztą też jestem wytworem twojego mózdzku.

Westchnąłem.

— Proszę — powiedziała podając mi kawałek ciasta na talerzu. — Tu masz herbatę. — Wskazała na blat. — Czemu nie jesz? Nad czym tak myślisz? — zapytała. Czasami zachowywała się jak druga mama.

— Gdzie ja właściwie teraz jestem? — zapytałem siebie marszcząc czoło.

— Jak to „Gdzie jestem”? Jesteś tutaj, Danielu, na Tannerowym zadupiu. Czegoś się spodziewał?

— Nie, nie o to mi chodziło. Gdzie teraz jestem... — Nie wiedziałem jak to ująć w słowach. — Na zewnątrz.

— Pewnie w łóżku... — odpowiedziała zaskoczona dziwiąc się, że na to nie wpadłem.

— Nie, pamiętam, jak się obudziłem. Potem jadłem śniadanie. Jakiś czas później Amanda odwiozła mnie do szkoły. Mówiła, że później dzisiaj kończy, więc mam wrócić autobusem.

— ...pan Reed.

Natychmiastowo wyprostowałem się na krześle. Spojrzałem dookoła: moja klasa, wszyscy siedzieli w ławkach, większość z nich patrzyła teraz na mnie.

— Słucham...?

— Proszę, jak ty interpretujesz ten wiersz? „Jaki wiersz?”.

— Daniel, dostajesz jedynkę.

Westchnąłem.

Kilka godzin później wsiadałem już do autobusu. Nie zdążyłem wcześniej kupić sobie biletu, więc musiałem go kupić u kierowcy.

— Ulgowy poproszę.

— To twoja sprawka? – spytał z niedowierzaniem w głosie.

— Słucham? – zapytałem wystraszony.

— Pytam, czy odliczone. – Chyba musiałem się przesłyszeć.

— Tak, tak... - Po czym podałem mu pieniądze, a po chwili dostałem paragon.

Usiadłem na pierwszym wolnym miejscu to jest na tym, przed którym były środkowe drzwi. Wyciągnąłem słuchawki, podłączyłem je do empetrójki i włożyłem do uszu. Autobus nie był jakoś zbyt przepełniony, co było dziwne zważywszy na godzinę. O tej porze autobus pękał w szwach, tymczasem nie było nikogo, kto przez brak wolnych miejsc musiałby stać. W pojeździe z tego, co zauważyłem wracając od kabiny kierowcy, było jeszcze kilka wolnych miejsc.

Nagle zgasły wszystkie światła. Słońce jakby nie istniało w tej chwili, wszędzie zrobiło się ciemno. Za chwilę wszystko wróciło na miejsce, jakby ktoś zwyczajnie na chwilę wyłączył reflektory.

Jednak teraz nic nie wyglądało tak, jak przed chwilą. Wystraszony wyrwałem słuchawki z uszu i rozejrzałem się. Mężczyzna, który przed chwilą siedział koło mnie... wyglądał co najmniej inaczej. Jego twarz cała posiniała. Wydawała się, jakby zastygła w bezruchu zaraz po tym, gdy próbował wyrazić ból. Z jego oczu pocięło kilka strug krwi, podobnie jak z ust. Nie był jedyny: cały autobus był teraz przepełniony zeszywniałymi pokrwawionymi ludźmi. Pojazd nie jechał już jak wcześniej, za to stał teraz w miejscu. Gdy spojrzałem przez okno, zauważyłem, że wszystkie okna w budynkach są powybijane, wnętrza, które chroniły, były w nieładzie a na wszystkich rzeczach leżał z centymetr kurzu. Na chodnikach nie było już żadnych ludzi,

których mogłem obserwować parę chwil temu spacerujących. Chciałem już zacząć przeklinać w nadziei, że to by coś zmieniło, gdy reflektory znów zgasły, po czym znowu się zapaliły.

Pomyślałem, że teraz sytuacja wróci do normalności. Nawet nie wiedziałem, w jakim byłem błędzie. Teraz głowa każdego stała się jajowatą figurą pozbawioną nosa, ust, uszu i całej reszty. Prócz oczu. Oczy krwawiły.

Dopiero teraz zauważyłem to, że już nie siedzę na swoim miejscu, tylko chodzę po autobusie.

Wiedziałem, kogo przedstawiał ten cały obraz.

— O nie! Nie! — zawołałem z przerażenia.

Sytuacja powtórzyła się: znów zrobiło się ciemno, po chwili znowu było już jasno. Tym razem wszystko wyglądało, jak pięć minut temu: nikt nie był już ani sztywny, ani siny, za oknami znów pojawili się spacerujący ludzie, a okna w budynkach były już w całości.

— Patrz, jaki czubek — wyszeptał ktoś z końca autobusu wskazując na mnie palcem.

Znów usiadłem próbując zawzięcie ignorować wszystkich ludzi i wszystko dookoła, wygłuszając to muzyką.

2.

— Myślisz, że długo będzie jeszcze spał? — Próbując dowiedzieć się, o co chodzi, nie otwierałem oczu.

— Nie wiem... I średnio mnie to obchodzi, wiesz?

— Cały czas śpi i śpi. Hej — zaczęła mówić głośniejszym głosem. Chyba do mnie. — Jak będziesz tyle spał, to całe życie prześpisz! — Zaśmiała się.

Ciągle stukania oraz jakiś niewygodny dodatek do siedzeń coraz bardziej starały się wyprowadzić mnie z równowagi. Co się dzieje?

Otworzyłem oczy.

Kwadratowe, ciasne pomieszczenie. Na dwóch przeciwległych ścianach obskurne, skórzane kanapy z naszytymi guzikami, które chyba miały je ozdabiać, za to z komfortem nie miały nic wspólnego. Ściana na prawo, czyli ta, o którą się opierałem, była od połowy do góry przeszkłona. To chyba było wyjście. W ścianie po lewej było okno. Zauważyłem w nim umykające lasy, ale z taką prędkością, że chwilę musiałem domyślać się, czym właściwie jest ten zlepek zielonej i czarnej barwy. Zdecydowanie był dzień, choć nawet, gdyby na zewnątrz było już ciemno, nie zrobiłoby to żadnej różnicy w oświetleniu:

pomieszczenie było doskonale uzbrojone w lampy powieszony na ścianach.

Na siedzeniu naprzeciw siedzieli kobieta i mężczyzna. Mężczyzna ubrany był w czarny płaszcz kończący się dopiero na jego udach. Zapięty był rzędem czarnych guzików najwidoczniej pękających w szwach poprzez tuszę ich nosiciela. Do płaszcza idealnie pasował dość wysoki cylinder oraz czarne spodnie wyprasowane w kant. Kobieta idealnie kontrastowała z nim we wszystkim, o czym mogłem tylko pomyśleć. Była szczupluka, ubrana w żółtobiałą suknię przylegającą do niej. Jej brązowe włosy były splecione w kok.

— Patrz, obudził się! — odezwała się ze strasznym zachwytem.

— Co się dzieje? — zapytałem niepewnie rozglądając się dookoła.

— Jak to „Co się dzieje”? Nie wiesz, gdzie jesteś? — zapytała niemal piszcząc.

— Chyba nie... — odpowiedziałem z rezygnacją.

— Jedziemy do... — wspomniała jakąś nazwę, którą kojarzyłem, ale za nic nie mogłem powtórzyć w myślach. — Pociągiem.

Pociąg. No tak. To stąd te ciągłe stukania. To po prostu tory.

— Kim jesteście? — zmieniłem temat.

— Ja jestem... — Usłyszałem jakiś bełkot. — To jest... — przedstawiła swojego towarzyszkę. Zamiast jego imienia usłyszałem ten sam bełkot. — Kotku, no powiedz coś! — zwróciła się do mężczyzny udając obrażoną, w taki sposób, że każdy przebywający w tym pomieszczeniu uznałby to za żenujące.

Mężczyzna tylko westchnął. Najwidoczniej oboje nie kwapili się do wyjaśnienia, skąd się tutaj wziąłem. Tak, jak wszystkie postaci w moich snach miały taki obowiązek.

Nie mam tutaj już niczego do roboty. Podeszedłem do przesuwanych drzwi, które zamykały przedział, po czym je otworzyłem i wyszedłem na korytarz.

Podłużne pomieszczenie zdobił czerwony, nieco już brudnawy dywan ścielący podłogę oraz wiszące na ścianach lampy. Dopiero teraz zacząłem się zastanawiać dlaczego wszystkie są zapalone, chociaż po chwili doszedłem do tego, że zastanawianie się dlaczego moje sny są tak głupie jest co najmniej nierozsądne. Śpiący mózg nie zastanawia się, czy lampy powinno się palić w dzień, czy w nocy, oraz czy powinny być zapalone; zna on w tym czasie tylko utarte schematy: lampa jest po to, żeby świeciła. To odnosi się do wszystkiego. Każdy tak ma, że po przebudzeniu zastanawia się jak podczas przeżywania marzenia sennego nie zauważył, że wszystko, co w nim napotkał było absurdalnie... głupie.

Za to ja się nad tym zastanawiam podczas snu. Już od dobrych paru, może nawet parunastu miesięcy przeżywam coś na wzór świadomego snu. Dlaczego na wzór? Otóż jestem w nim kompletnie świadomy (albo tak po prostu mi się zdaje), jednak nie mam żadnego wpływu na to, co w nim widzę. Czuję, jakby to moja podświadomość próbowała mi coś powiedzieć... albo po prostu się ze mnie nabija. W każdym razie mi do śmiechu nie jest, bo jest to po prostu męczące. Zwłaszcza, że każdy sen ma swój charakterystyczny styl, zmieniają się tylko sceneria i okoliczności.

W każdym moim śnie pojawia się pewna postać, która za każdym razem przeraża mnie na śmierć. Mimo, że oglądałem już całą masę horrorów, czytałem wiele „strasznych opowiadań” i takie postaci od dawna są dla mnie przereklamowane, jak pewnie dla większości ludzi. Mimo to, za każdym razem zastygam w bezruchu, nie czuję swoich mięśni, leci po mnie zimny pot, a budzę się z wrzaskiem. Nie widzę jej w każdym moim śnie, jednak wiem, że w każdym się znajduje.

To o niej śniłem ostatniej nocy. W autobusie również była obecna, jestem tego pewien, chociaż jej tam nie zobaczyłem. Za każdym razem jest tak samo przerażająca, od tych parunastu miesięcy.

Wiem, że człowiek każdej nocy ma około pięć snów. Ja pamiętam tylko ten jeden. Może to jest jedyny? Może mój mózg działa jakoś inaczej w porównaniu z mózgami ludzi, którzy nie miewają snów takich jak ja? Mogę tylko snuć domysły, bo zbyt mało wiem w tym temacie. Czasami zastanawiam się, czy nie przydałby mi się jakiś specjalista, psycholog, psychiatra, neurolog, czy jakiś inny lekarz.

Przedział, z którego wyszedłem znajdował się najbliżej przejścia do następnego wagonu. Początkowo ruszyłem w stronę przejścia, jednak zatrzymała mnie ciekawość. Co może się znajdować w pozostałych przedziałach? A raczej kto? Nie spodziewałem się nikogo konkretnego, byłem po prostu ciekawy. Poza tym wiedziałem, że w końcu muszę znaleźć Go, albo jakąś oznakę jego obecności, żeby jak najszybciej z tym skończyć, obudzić się z krzykiem i już więcej nie zasnąć tej nocy.

Tak też, zamiast kierować się w prawo, ruszyłem w lewo. W następnym przedziale znalazłem pięć osób. Na kanapie po prawej siedziało dwóch młodych mężczyzn, a między nimi kobieta w ogromnym kapeluszu z długim, powiedziałbym, że metrowym piórem wystającym z róna. Na kanapie po lewej siedziały dwie kobiety z identycznymi kapeluszami. Tylko piórko na kapeluszu każdej z nich miał inny kolor, żadnego nie potrafiłem nazwać.

Następny przedział nie był zbyt ciekawy. Nie, żeby wcześniejsze nie wiadomo jak mnie interesowały, jednak ten był wyjątkowo nudny. Na kanapie po lewej siedział mężczyzna w brązowym, sztruksowym płaszczu, trzymający na kolanach skórzaną walizkę. Wciąż patrzył się przed siebie, nie zwrócił na mnie żadnej uwagi. Ludzie we wcześniejszych wagonach też na mnie nie popatrzyli, ale usprawiedliwiałem ich jako, że nie

siedzieli tam sami, zajmowali się sobą. Ten za to siedział tutaj sam. Przez chwilę pomyślałem nawet, żeby do niego wejść, przywitać się, ale za bardzo mnie przerażał. Poszedłem do następnego przedziału.

W jednej chwili zamarłem. Przestałem oddychać i czułem, że moja krew zatrzymała się w żyłach, bo serce nie ma już siły jej pompować.